

Shin Kyung-sook

B E D E
t a m

*Lecz na cóż blizna, szloch, te próby zawodne?
Dla kogo, bisior srogi, znaczysz ciało chłodne
Ślepej, co się umie domagać nadziei!*

Paul Valéry, Młoda Parka¹

¹ Tłumaczenie Roman Kołoniecki, <http://milosc.info/wiersze/Paul-Valery/Mloda-Parka,02.php>

Redaktor prowadzący

Krzysztof Zadros

Redakcja techniczna

Katarzyna Grudzień

Projekt okładki

Janusz Sierkiewski

Poczekalnia pomysłów

Ilustracje

Katarzyna Łuczniak

Korekta

Elżbieta Kościańska

Copyright © Shin Kyung-sook 2010

All rights reserved.

This Polish edition was published by Wydawnictwo Kwiaty Orientu in 2012

**Publikacja została dofinansowana
przez Literature Translation Institute of Korea****Skład i łamanie:**

Wojciech Ciągło Studio DTP, wojtek@ntp-studio.pl

ISBN 978-83-935271-0-6

Wydawnictwo Kwiaty Orientu

26-110 Skarżysko-Kamienna, ul. Konopnickiej 12/42

Telefon 41 2524870

email: pytanie@kwiatyorientu.com

Strona internetowa: www.kwiatyorientu.com

Druk i oprawa:

Drukarnia im. A. Półtawskiego

www.drukarnia.kielce.pl

Shin Kyung-sook

B E D E
t a m

Z koreańskiego przełożyła:
Marzena Stefańska-Adams

Prolog: Czy mogę przyjść?	9
Rozdział 1. Rozstanie	25
Rozdział 2. Człowiek przechodzący przez wodę	48
Rozdział 3. Oddychamy	77
Rozdział 4. Droga do Słonego Jeziora	113
Rozdział 5. Poszliśmy razem ulicą	130
Rozdział 6. Pusty dom	149
Rozdział 7. Pokój pod schodami	164
Rozdział 8. Pojedyncza mała łódka	207
Rozdział 9. Gdyby uścisnąć stu obcych...	251
Rozdział 10. My w ogniu	268
Epilog: Będę tam	299

Prolog: Czy mogę przyjść?

To był jego pierwszy telefon od ośmiu lat. Od razu rozpoznałam ten głos. Gdy tylko usłyszałam w słuchawce: *Halo*, zapytałam: *Gdzie jesteś?* Milczał. Milczał tak od ośmiu lat, a to długo. Osiem lat ciszy. Niewyobrażalna liczba godzin. Ale nawet wcześniej, w momencie przebywania z innymi ludźmi, choć dziś już nie pamiętamy po co, przez cały czas unikał swoich spojrzeń. Aż do czasu, kiedy trzeba było się rozstać. I dopiero wtedy, bez słowa, podaliśmy sobie ręce na pożegnanie. To było wszystko.

Nawet nie pamiętam, gdzie to miało miejsce, pamiętam jedynie czas: letnia noc, po północy. Staliśmy przy ciemnych, stromych schodach ukrytych gdzieś głęboko w mieście. Zbliżyłam się do niego i złapałam go za rękę. W pobliżu musiał znajdować się sklepik z owocami, ponieważ w powietrzu unosił się zapach śliwek. Pożegnałam się z nim przez złapanie i puszczenie jego dłoni i pozwoliłam mu odejść – w tamtym momencie, niezależnie od tego, co myślał, zachowałam dla siebie, niczym muszla perły, rodzące się w mej głowie słowa. Nie mogłam wykszusić ani *Do widzenia* ani *Spotkajmy się jeszcze kiedyś*. Czulałam, że gdybym otworzyła usta i wypowiedziała chociaż jedno słowo, inne mogłyby wyrwać mi się spod kontroli jak padające z łoskotem na podłogę paciorki z rozerwanego sznura koralu. W mojej głowie kołatała myśl, że jeżeli przestałabym się kontrolować i zaczęła mówić o czasach, kiedy się nawzajem poznawaliśmy i zgłębialiśmy tajemnice swoich dusz, nie można by tych słów cofnąć, więc tylko stałam z kamienną twarzą. Nie chciałam przekreślać chwil, kiedy w duchu wzajemnego zrozumienia mogliśmy na siebie liczyć.

Czy to teraz, czy osiem lat temu, czas nigdy nie był dla nas sprawiedliwy i nie mijał bez konsekwencji. W chwili, kiedy spo-

kojnie zapytałam: *Gdzie jesteś?*, mimo że nie dzwonił od ośmiu lat, zdałam sobie sprawę, że nie muszę już dłużej powstrzymywać słów, których nie mogłam wówczas wypowiedzieć. Nie musiałam też dalej udawać, że u mnie wszystko w porządku, tłumić pozostałych z tamtych lat emocji. Pytanie: *Gdzie jesteś?* wypowiedziałam niezwykle spokojnie. Gdzie się podziały te wszystkie słowa, które kiedyś sprawiały, że szłam bez celu, słowa przepełnione smutkiem i wątpliwościami? Wszystkie przykre uczucia? Gdzie się podział ból, który w chwilach osamotnienia przeszywał moje serce niczym myśliwy włócznią? Jak to się stało, że mogę teraz normalnie funkcjonować? Czy to właśnie jest życie? Czy dzieje się tak dlatego, że nieubłagane płynący czas niesie ze sobą zarówno szczęście, jak i żal? Kiedy znajdowałam się w samym centrum życiowych zawirowań, nie mogąc się z nich wydostać, ktoś – nie pamiętam kto – powiedział mi, że kiedyś nadejdą lepsze dni. I chyba miał rację. To właściwe słowa dla ludzi cierpiących, ale też dla osób, których życie jest pełne szczęścia: pierwszym dają siłę do przetrwania, drugich uczą pokory.

Między naszymi telefonami, między nim a mną, zapadła nagle cisza. Zbyt późno zorientowałam się, że pewne rzeczy wymknęły nam się spod kontroli. Dziwne, ale nie przywitałam go w najprostszy możliwy sposób. Nie czułam potrzeby powiedzenia: *Dawno się nie widzieliśmy*, czy zapytania: *Co u ciebie słychać?* Ponieważ pominęłam powitanie i od razu zapytałam, gdzie jest, chociaż nie widzieliśmy się od ośmiu lat, pewnie poczuł się zmieszany, a mimo to zabrakło mi słów i nie byłam w stanie zwyczajnie zapytać, jak się miewa. Oczywiście, w chwili odebrania telefonu można od razu zapytać kogoś, gdzie jest, lecz tylko wtedy, jeżeli stale się tę osobę widuje. Jednak w naszym przypadku minęło aż osiem lat, on był po tamtej stronie telefonicznego kabla, a ja tutaj. Czas bie-

gnie nieubłaganie, ale gdybym w młodości wiedziała, że raz dana nam szansa nigdy się nie powtórzy, być może inaczej rozwiązałyby pewne sprawy. Gdybym to wiedziała, być może pewna osoba nigdy by nie odeszła, a inna być może nadal by żyła. Gdybym tylko wiedziała, że w momencie, kiedy coś się kończy, coś innego się zaczyna...

Spojrzałam w stronę okna.

Podczas przeciągającej się między nami ciszy okno wypełniło poranne światło zimowego dnia. We wczorajszej prognozie pogody zapowiadano na dziś śnieg, ale nie zanościło się na żadne opady. Było dość wcześnie, właśnie świtało. O tej porze dnia telefonuje się jedynie do członków rodziny lub bliskich osób. Telefony dzwoniące w tych godzinach są zazwyczaj pilne lub przynoszą złe wieści.

– Profesor Yun jest w szpitalu.

Milczałam.

– Wydawało mi się, że to ja powinienem cię o tym powiadomić.

Chwyliłam słuchawkę w obie dłonie. Nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, zamrugałam i odwróciłam wzrok od okna. *Wydawało mi się, że to ja powinienem cię o tym powiadomić.* Słowa te zawirowały w moich oczach niczym płatki śniegu. Skupiłam się na jego głosie, jakby chwytając się wypowiedzianych przez niego słów i zmrużyłam zachodzące mi mgłą oczy, zmieniając je w wąskie szparki. Ku mojemu zaskoczeniu zauważyłam, że płatki śniegu rzucają cień na zasłony.

– Jest w szpitalu od jakichś trzech miesięcy... Pozostało mu niewiele czasu.

Trzy miesiące w szpitalu! Westchnęłam głęboko. Dawna uraza do profesora Yuna wezbrała we mnie, a potem zniknęła. Odkąd widziałam go po raz ostatni, minęły już trzy lata. Profesor Yun, tak samo jak moja mama, w miarę postępu choroby coraz moc-

niej pragnął samotności. Nie życzył sobie żadnych odwiedzin. Od pewnego czasu leżał sam w jednoosobowym pokoju, do którego można było się dostać przez nieskończoną liczbę drzwi. Stojąc twarzą w twarz ze śmiercią, stanowczo i świadomie chciał być sam.

Trzy lata temu, pewnego zimowego ranka na początku roku, postanowiłam go odwiedzić, ale zawróciłam z drogi, zanim dotarłam na miejsce. Od tego momentu przestałam go szukać. W tamten pamiętny zimowy dzień, pierwszy dzień nowego roku, poczułam, że powinnam złożyć profesorowi życzenia noworoczne. Chociaż wiedziałam, że nie będzie w stanie długo siedzieć, bo ma problemy z oddychaniem, miałam nadzieję chociaż go zobaczyć. Kiedy wyruszałam, niebo było jeszcze szare, właśnie zaczęły padać wielkie płatki śniegu. Nie byłam dobrym kierowcą. Jeśli coś było nie tak z samochodem, winałam za to siebie. Śnieg padał coraz intensywniej, z północy wiał zimny wiatr, więc raz po raz zjeżdżałam na pobocze, aż w końcu mój samochód utknął w zaspie u podnóża góry, za którą samotnie mieszkał profesor. Nie byłam w stanie wydostać auta ze śnieżnej pułapki, pozostawiłam je zatem i zaczęłam iść wśród śnieżycy. Wiatr smagał bezlitośnie moją twarz, a na nogawkach spodni pojawiły się kryształki lodu. Idąc, zerknęłam wstecz, żeby zobaczyć śnieg pokrywający zbocze góry. Zrywający się co chwila wiatr wznosił z ziemi białe tumany, które opadając, tworzyły pagórkowate zaspę. Widoczność była coraz gorsza, śnieg stawał się coraz cięższy, a do domu profesora Yuna wciąż było daleko. Szłam dalej, ale powoli narastał we mnie strach. Z każdym trzaskiem łamiącej się pod ciężarem śniegu gałęzi sosny żołądek podchodził mi do gardła. Kiedy wielkie, obumarłe drzewo w lesie, nie będąc dłużej w stanie wytrzymać ciężaru śniegu na swoich gałęziach, zważyło się z hukiem na ziemię, z nieuświadomianym do końca wewnętrznym przerażeniem przystanąłam.

Dlaczego nie zdołałam pokonać drogi do jego domu? Choć trudniej było wrócić do samochodu, który utknął w śniegu... Moja porażka w walce ze śnieżycą w drodze do domu profesora Yuna sprawiła, że nie byłam w stanie wybrać się tam ponownie. Zawsze kiedy o nim myślałam, świadomość, że nigdy nie będę w stanie do niego dotrzeć, kładła się cieniem w moim sercu. Ale wyglądało na to, że nie byłam jedyną osobą, która doświadczała tego rodzaju uczucia. Pewien znajomy powiedział mi, że z tęsknoty za profesorem postanowił pojechać do niego w środku nocy. Ale im bliżej był jego domu, tym silniejsze miał wrażenie, że nie jest w stanie pokonać całej drogi pod górę. W końcu tylko zerknął w okna domu profesora i zawrócił. Powiedział, że okrążył dom kilka razy. Opuszczając wioskę, poczuł, że całe wargi ma poranione od przygryzania. Dlaczego nie mogliśmy po prostu zgromadzić się w domu profesora, jak za dawnych czasów?

Z telefonem w dłoni wstałam od biurka, podeszłam do okna i podciągnęłam żaluzje. Na zewnątrz puste niebo wypełniały białe płatki śniegu.

Ta wiadomość nie była dla mnie zaskoczeniem. Tak naprawdę niespokojnie czekałam na ten dzień, w którym do mnie dotrze. Nie wiedziałam tylko, że to nastąpi akurat dziś. Początkowo dające się policzyć płatki śniegu padały coraz gęściej. Rosnący naprzeciwko mnie na podwórze cedr himalajski, który nawet zimą olśniewał świeżą zielenią, teraz pokrył się śnieżną bielą. Dookoła nie było nikogo. Miejski autobus, do którego ani razu nie wsiadłam przez cztery lata mieszkania tutaj, ostrożnie, ślizgając się, pokonywał zaśnieżone boczne uliczki.

Chociaż jestem roztargniona i myślę rzeczy, które wydarzyły się wczoraj, z tymi, które miały miejsce dziesięć lat temu, choć zdarza mi się stać przed otwartą lodówką i zastanawiać się, po co ją otwo-

rzyłam, by po chwili w zimnym strumieniu powietrza zamknąć nieśmiało drzwi, to moje wspomnienia z pierwszego spotkania z profesorem wiele lat temu są nadal świeże. Miałam dwadzieścia lat. Wtedy tytuł jednej książki sprawiał, że przychodziło mi na myśl dwadzieścia innych z nią powiązanych. Profesor Yun wszedł do klasy, do której wlewało się marcowe słońce. Kiedy przechodził obok mnie, miałam spuszczoną głowę, więc podążyłam wzrokiem za jego butami. Były tak duże, że jego stopy ślizgały się w nich, jakby obuwie należało do kogoś innego. Zaciekawiona chciałam zobaczyć osobę, która nosi takie wielkie buty, więc podniosłam głowę i od razu zrobiło mi się wstyd. Jak można być tak chudym? To nie buty były za duże, nie było pewnie takich, które by na tego człowieka pasowały. Spojrzałam na niego i natychmiast pomyślałam: *chudy jak szczapa*.

Szybko oderwałam wzrok od nad wyraz szczupłej sylwetki, aby spojrzeć w mocno błyszczące zza okularów oczy. Odwrócił się w stronę okna. Krzyki demonstrujących studentów nie pozwalały prowadzić zajęć. W klasie nadal unosił się przywiany przez zimny marcowy wiatr gaz łzawiący. Przed zajęciami ktoś usilnie próbował zasunąć żaluzje. Profesor Yun długo stał przy oknie, patrząc na demonstrację. Ponieważ nie ruszał się, zaczęliśmy, jedno po drugim, dołączać do niego. Policja goniła grupę studentów. Białe chmury zawisły nad ich głowami w lodowatym marcowym powietrzu. Tego dnia profesor Yun zadał nam tylko jedno pytanie: *Jakie znaczenie ma sztuka w dzisiejszych czasach?* Nie miałam pojęcia, czy było ono skierowane do nas, czy też zadał je samemu sobie, ale w jego inteligentnym spojrzeniu dostrzegłam cierpienie. Ten właśnie moment, kiedy po raz pierwszy spojrzałam mu w oczy, sprawił, że moje serce przeszył ostry ból, jakby przebijało je jakieś ostrze. Skąd mogłam wtedy wiedzieć, że nadejdą właśnie